

## I.

### WIECZORNE PUSTYNIĘ.

Mroczne fortece pradawnych Tatr, na których wygrzewa się Król Wężów... wielkie jego cielsko siedem i pół razy owija górę olbrzymkę, zarosłą ciemnym niedźwiedziowym lasem i zakończoną na wirchu lodozwałami nietającymi nigdy.

Król wężów—to piorun isłońce dla jednych, to Życie lub Zły Duch Myśliciel dla tych, co go znają już w sobie. Zielony jad zebrał się grubą warstwą na grzbiecie jego. Przecudna i straszna korona z nadludzkich męczarni mrocznieje nad szmaragdowymi oczyma.

W dziedzictwo jego idziemy.

W te mroczne Tatry nie z czasów dzisiejszych, lecz takie, jak oglądałby jasnowidzący:

Tatry — Himalaje.

Tatry, u stóp których bezmierne szafirowe morze, zaorywane w wielkie skiby fal złowieszczymi uroki Księżyca i Halnym wichrem; fiordów miłosne ręce zapuszczają się w gęstwinę boru, w tajemnicze wgięcia regli podobnych dziewiczym piersiom olbrzymek.

Tam lodozwały wzniosły się w nieprzystępny dla żyjących Dom śmierci.

Tam rzeki spadają Niagarowemi kaskadami.

Rakszase nocy indyjskich czułyby się tu u siebie, rozpościerając skrzydła gigantyczne na lodowcach.

Pieśniarz Kalewali śpiewałby runy o bogini powietrza i pierwszym człowieku Wejnamojnienie, mędrca i czarodzieju słów.

Kraina nie baśni, lecz najgłębszej istotności, rozpościera się przed nami.

Idziemy—za cieniem chmur płynących.—

za piórami zagubionymi orła—za echem kaskady tęczącej wśród leśnych wonnych malin.

My cienie—nie widać nas.

My niedotykalni—czujemy jednak pod stopą miękkie zioła. Tchnieniem woli możemy wzbic się aż po obłoki i płynąć w tych jedwabistych karocach.

Zaszło już słońce.

Król Wężów wypełza ze swej piekielnej czeluści. U wylotu doliny wznosi się potężna ściana gór — nad nimi już w niebie śnieżą lodowce.

Chłodno tu. Swobodnie. Olbrzymio - tajemniczo — wśród rozrosłych drzew, z których każde jest kościołem.

Rozsunął ktoś gałęzie limb.

Wyszedł — syn tej puszczy. Patrząc w niego, wierzymy mimochcąc w legendy o ludziach z rasy wyższej pewnego króla irańskiego, zamkniętych wśród gór.

Włosy czarne spadają mu aż na barki.

Strój lekki. Z łusek rybich ma ciżmy.

Na potężnych ramionach, podobnych do grubych gałęzi dębu—mroczy się skóra morskiego lwa z grzywą.

Ten człowiek może mieć lat około trzydziestu.

Zbronzowiwały od burz na morzu. Z twarzy jego tchnie melancholia i dzikość.

Tak wyglądali indyjscy bohaterowie — Węże, synowie króla Wężów w Himalajach, boga Sziwy. Tajemnicę widzieli wszędzie, do tajemnicy modlili się, tajemnicą zawierali swe Tabu miłości, która jawna dopiero stawała się w zbrodni płonących miast, w potężnym huku łamiącego się architrawu w skałach wykutej świątyni — Rameszwaram. Ten człowiek, którego my śledzimy, znużony być musi.

Nie kładzie się, lecz wspiera o pień limby rękę.

Zapewne ścigają go Duchy, jemu tylko widzialne: gdyż twarz mu się kurczy, oczy urzeczone potwornością płynącej na powietrzu trumny—i jeszcze czegoś niewyraźnego—bo wtem runęło ciało na ziemię, ciało mocne jak splot błyskawicy z pniem rosochatym czarnoklonu; ręce rwą kosodrzewiny w rozpaczonym wybuchu.

Tłucze się głowa o skały.  
Na włosach czarnych występuje krew.  
Z pieniających się ust niewyraźne słowa.  
Lecz nie jest to epilepsja.  
Ten człowiek wstaje.  
Zaśmiał się.  
Niebywale dumnie dźwięczy jego śmiech, jako tego co już pokonał Ból.  
Straszliwszym jest teraz w spokoju, niż kiedy łamały go burze szatańskiej myśli.  
Na głazie nad przepaścią stoi, u wejścia tej rozpadliny wulkanicznej, ławami gorącymi wionącej i dymami, gdzie zniknął Król Wężów.  
Do niego pono idzie ów człowiek: żegna się z zielonowłosemi duchami limb!  
Mroczniejszą dusza jego zda się, niż to niebo, z którego już zapadło w niebyt słońce.  
Krwawe tylko smugi rozpełzły po wirchach, niby światła gromnic.  
W głębi przerażającej nieruchomem zdaje się morze, które tam rozbija najśmielsze barki na fiordach. Nie dochodzi jego szum tu na wyżyny wielu tysięcy metrów nad morzem.  
W milczeniu bezmiernem wtajemnicza się ten człowiek pustyni.  
Dusza jego tu poczynając milczeć—Mówi tym językiem, który leży w głębinie wszystkiego bytu.  
Tak mówią limby do skał tak mówił Demiurg do tworzącej się planety.  
Tak mówi ludzkie wiecznie nieznanne Ja w głębinie swej.  
My cienie—niedotykalni, wijemy się za pniami drzew.  
Posłuchajmy spowiedzi!  
Lub kto wie, może dziwacznej komedyi?  
Bo niewiadomo nigdy, gdzie kończy się groza i gdzie zaczyna się ironia w naturze i duchu.  
Czasem oskarżamy to, co jest bardzo drogie sercu; czasem wyanielamy to, co dobrze byłoby owinąć kolczatą leśną lianą i rzucić smokom jaskiń na pożarcie.  
Nie mówmy—nie mówmy—słuchajmy!  
Zapamiętujmy wyznania — ten zuchwalec wygląda na Jazona, który zatopił swój okręt Argo dla Medei lub zdaje się być królewiczem indyjskim, który by wykupić swą duszę z pod gniewu świętego Wasantazeny, stał się grabarzem i musiał pogrześć własne dziecko.  
Nie mówmy, nie mówmy—spisujmy oskarżenia.  
Bo „wszystko co istnieje—warte jest aby poszło do dna”.  
Milczy syn dziwowej krainy, mający wykrętną myśl tego co walczył z Minotaurami—mający serce płaczące rosą.  
Milczy on, gładząc limby.  
Przygląda się tańcu elfów niewidzialnych. Milczy, bo czuje, że my słuchamy. Lecz patrzcie, nie dba o nas!  
My jesteśmy dla niego tylko liśćmi, które wiatr za chwilę utopi w czarnych piekielnych jeziorach śmierci.  
Mówi ze sobą twór tych wielkich krain Jasnowidzącego.  
Nie dowierzajmy jego słowom łagodnym, uspokojonym: ręka jego nieświadomie zakreśla na korze kilkusetletniej limby znak straszny zgonu.

\*\*\*

— Nazwę się przed wami Arjaman. Jestem rybakiem, który w morzu poławia. I przepływam w barce wśród mroków ciemnej nocy, iskrząc kagankiem, wabiącym rekiny pod skalistymi zrębami Tatr: na harpunie mojej nieraz znajduję dziwa, o których ludzie nie wiedzą, chodzący tylko łądami. Jam rybak monstrów, zaiste osamotniony, lecz nie pragnę niczego nad to, iżby duchy jawiły się mi nadal, ślepiąc piorunami, a morze aby szumiało wiecznie, t. j. aż poza kres mogiły, moim dwojgu dzieciom i mnie.

Teraz Wam opowiem zupełnie o czym innym. Jestem nieumiejętny w opowiadaniu, zresztą nikogo z moich nie widząc, mówię jedynie do skał i do paru limb, które nademną się kłonią, do brunatnej leśnej ziemi, na której przed chwilą tak tłukłem głową.

Nie myślcie, że opowieść ma będzie smutna: niczego nie znoszę mniej, niż rozpowiadanej boleści.

Owszem, rozraduję moje serce i wraz ze mną Wy, którym Wieszcza ech poniesie tą opowieść przez góry i morza: wielcy magnaci nie wiedzący, jak czynić dalej ze swym życiem,—lub stróżowani przez halebardników więźnie—

tę noc mogę Wam umilić opowieścią!

Tylko niech kobiety nie spodziewają się, że jestem zdolen być kochankiem, nawet jeśli niejedno będę mógł wyznać o miłości, co nie było dotąd nigdy wypowiedziane.

Limby — pochylcie swe zielone serca w uwadze. Tatry mają duszę wewnętrzną, która wygląda zupełnie inaczej, niżli możecie sądzić, będąc przywiązane korzeniami do tej odrobiny nieurodzajnej gleby.

Mają one w sobie historję Praziemi, mają też klucz, którym roztworzy się Brama Sądu Ostatecznego.

Wspinałem się po tatrzańskich lodowcach nad morzem tragicznie szumiącym, choć niby obojętnem i czarnem; wiedziałem stwory, pasące się na halach, podobne do tych, które w starym fresku Czerwonego Klasztoru pożerają grzeszników:

wielkie ogniowe siarkany, siedmiomilowe węże z koroną, Antychrysty o 666 źrenicach, które latają nad głębinami, a gdy zasną—konstelacje gwiazd kładną miłosne pocałunki na ich oczach i cały archipelag astralnych ostrowów konieczny im jest do głębokiego rajskiego snu.

Na odkrycie tych i więcej przyziemnych krain naprowadził mnie stary Oreł Sabalecek, mówiący o ziemiach Pana Ofa, gdzie wielgoryby turlają się na trawie, a dziwożeny migają w potokach.

Kryje się ten zwierzyniec wśród puszczy nieprzebytych, zwiedzanych tylko przez upiorny korowód wiatru halnego—

wśród wzniesionych nad pratatrzańskim morzem, wielkich, niby katedry pełne ukizyżowanego Lucifera, wyklętych przedwiecznością wież Babelu; wśród niewyobrażalnie groźnych, niepożytych otchłani, gdzie toną ametysty wieczornej żarzy nad mrukliwym złowieszczącym borem.

Zaiste, urzeczywistniony kraj tęsknot mojej duszy, kraj najtragiczniejszych mroków! Tam usłyszałem na turowym rogu grającego Rycerza konnego (indyjskiego Maga, idącego w świecie ryczących błyskawic Perkuna) i od epoki tego hejnału nie miałem już nigdy ukojenia.

Minęło wiele burz, wichur halnych i szkwałów na morzu, wiele upiornych polarnych nocy zimą —

niejeden potępiony duch, wlokąc gałąź jodłową, wchodził na Zaduszki w me drzwi — —  
za smutny byłem, abym się do orlich wirchów uwieść dał kuszeniem: Bądź jako bogowie!

To obrzydliwe reklamujące się, jak kakao Van Houtena, człowieczeństwo, czyż nie ma i we mnie swego Przedstawiciela? czyż nie jestem z równie marnego materiału fiat! pereąt! jak wszystko, co się przewala do otchłani? Skądże więc „hybris”, tak potępiona przez mędrców Hellady — aby się narzucać uczującym Bogom? a choćby nawet —Pustyni?

Limby, szumicie gałęzmi niecierpliwie, nudzi was, że nie opowiadam faktów z mego żywobycia?

Niechaj wam wystarczy jeden.

Znałem kiedyś głośnego w świecie Starca bramina, który się zwał de Mangro.

Mieszkając na wyspach Hebrydzkich, wykładał nieśmiertelność duszy i obiecał uczyć potęgi nad światem.

Przybyłem do niego; pogrążony w pracę nad zawiłymi kabalistycznymi rachunkami, przygotowuję się do wielkiego dusz kapłaństwa, gdyż naiwnie pojmowałem, że Chrystus objawi się tym zamyślonym najgłębiej, pracującym w piwnicy magnetycznych filtrów Bramina de Mangra.

Ten zaklął mnie wielkimi ślubami usynowienia, odgrywając przedemną rolę Szekspirowskiego Prospera.

Zaiste jednak przekonałem się, czym są jego dobroczynne praktyki.

My młodzieńcy i dziewice w tej akademii uczyliśmy się na magnetyzerów, aby potem w salach koncertowych, uspiwszy masy, można było swobodnie operować w ich sumieniu.

Czystość była pojmowana, jako coitus sine ejaculatione seminis.

Zbyt późno poznałem, do czego wiodą ścieżki tajne de Mangra, kiedy już ogół nasz był zmieniony w zwierzynę Cyrcei.

Ja ucierpiałem może najsroiej, bo przedsięwziąwszy bunt, przez syna de Mangra miałem być ujarzmiony. Jedna kobieta w klasztorze uwiadomiona, iż dostaje obłądu—istotnie wierząc w „ludzi wyższych”, przybyła zdaleka.

Mnie usypiano kwiatami odurzającymi — ściana przegradzająca w nocy łoża nasze zniknęła.

Ocean tak szumiał, księżyc tak czarował...

I została mą żoną.

Ku niedoli dowiedziałem się, iż była to zakonnica która wstąpiła do klasztoru wiedząc, że przysiągł sobie nigdy się nie żenić.

Pytałem de Mangrów, w podstępnie tym — jaki był cel? rzekli mi:

iż chcieli wypróbować swej władzy nad ludźmi.

Czemu nie wziąłem kamienia i nie zabiłem? Chrystus patrzył na mnie przez wszystkie zasłony zbrodni i bluźnierstwa.

Minęły od tego czasu lata najgłębszych zwątpień.

Z trudem zdobywałem siłę na przeżycie powszedniego dnia, ona tym więcej męczyła się myślą, iż mnie związała.

W końcu przekonałem się, że de Mangro był tylko narzędziem sił wyższych. Moja przypadkowo wybrana jest tą, którą mi przeznaczyła duchowa Ananke.

Lecz wiedząc o tem, nie mogłem już mieć szczęścia — życie nasze już kapało sięwe krwi. Potworny chaos różnych ludzkich zagmatwań zmusił mnie ujść aż tu — na pustynię.

Jak Edyp, zamieszkałem wśród przepaści, szukając rozwiązania tajemnic swej jaźni.

Gotów jestem kroczyć za wszelkiem Objawieniem, choćby ono było wiedzą kainitów, jeśli nie może być wiedzą świętych z Wieczery Ostatniej. Będzie li to jaskinia dusicieli, czy błękitna grotka, gdzie Anieli zanucą hymn Ofiarowania?

Jednego wieczora ujrzałem na chmurnym niebie wijący się Piorun — Króla Wężów: miał koronę z ognia, która mieniła miliardami klejnotów nad mrocznym wąwozem w lesie, płomieniała uroczystym, dumnym szczęściem. Trwał on na wirkach sam, odbijając tragicznie mroczną łuskę w złocistych bronzach i w pompejańskim tęczowym od patyny wieków szkłe lodowca — jakgdyby wyklętym, tak — wyklętym był gościem na zbyt ubogiej ziemi!

Któż wie, dlaczego upadł z niebiosów? lub jeśli ojczyzną jego są podziemia — dlaczego wyblęsnął z nich? I prędzej, niż okamgnienie, zniknął — zakopał się aż pod samą wezgląb morza — tylko ucichły druzgot leżących daleko hen — kamieni świadczył, iż tam przewiła się Potęga!

Ulegając tęsknocie za mitycznym światem Ornakowego Wojska, którego Wirnym musiał być mój Rycerz, a więzicielem Król Wężów — porzuciłem więcierze i chatę.